

BIBLIOTECZKA ŻOŁNIERZA
KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

Nr. 17

2044

KONRAD
JOTEMSKI

Kolekcja Sebastiana Nowakowskiego

A dark, stylized illustration of a soldier in a forest. The soldier is wearing a cap and a uniform, and is carrying a rifle. He is standing in a wooded area with trees and bushes. The illustration is in a high-contrast, almost silhouette-like style.

NA
ZASADZCE
PATROLU

WARSZAWA 1937

JESTEM ANALFABETA...

Z całej obsady strażnicy, jak nas tam było szesnastu, do gustu mi przypadł jedynie strzelec Szymon Marcelak. Może właśnie dlatego, że był mało mówny i nie skory do zbliżenia. W takiej zapadłej w lasach strażnicy, jak nasza, o zbliżenie jest bardzo łatwo i właściwie trudno go nawet uniknąć. Marcelak jednak tak lawirował, tak się umiał postawić, że nawet dowódca strażnicy, Wielkopolanin i nauczony w wojsku niemieckim — tykania, jemu jednemu zawsze mówił „wy“.

Marcelak był przystojnym chłopakiem. Miał regularne rysy i z oczu mu patrzyła inteligencja, ale inteligencja raczej wrodzona, bo o ile zauważyłem, Marcelak ani pochodził z tak zwanej dobrej rodziny, ani odebrał jakiegoś starannejszego wykształcenie. Przypuszczam, że w tym właśnie tkwiła przyczyna jego powściągliwości. Prostu obawiał się z czymś niestosownym zdradzić, a że, bestia, był szalenie ambitny, wołał więc nie ryzykować.

Nieraz przyglądałem się mu niepostrzeżenie. Kiedy przypuszczał, że nie jest obserwowany — z twarzy i ruchów spadała mu jak gdyby maska. Jak gdyby z wewnątrz wyjęto mu jakąś sprężynę. Robił się swobodny

i przez to jeszcze bardziej miły, pociągający. Ale też w gnieniu oka twarz jego przybierała maskę służbistości lub obojętności. Już po tygodniu nie miałem wątpliwości, że ten człowiek kryje jakąś tajemnicę. Ale jaką?

Sam nie wiedząc o tym, nie zdając sobie sprawy, zacząłem Marcelaka śledzić. Przyznajcie sami, że nie jest to ładnie starać się komuś wydrzeć jego starannie ukrywaną tajemnicę. Są sprawy, które ukrywamy w najgłębszych zakamarkach swego serca. Wywlekając je na jaw wbrew woli posiadacza wyrządzamy mu najcięższą krzywdę.

Nieraz, zasypiając, głowiłem się nad sekretem Marcelaka. „A nuż jest szpiegiem?” — myślałem, natychmiast ze wstrętem, niby płaza, odrzucając samą myśl nawet. A potem, skoro słodki sen coraz bardziej zstępował w strudzone całodzienną pracą członki, przez głowę przewijało się jedyne prawdopodobne przypuszczenie, że — z pewnością — jest to sprawa sercowa. Zasypiając, czułem serdeczne współczucie dla biednego chłopaka, który, być może, kocha się bez wzajemności.

Niewiadomo w jaki sposób sprawy Marcelaka stawały się mymi najdroższymi sprawami. To ja błagałem o litość i jedno dobre słowo, to ja — o wstydzie — budziłem się skąpany we łzach, koledzy zaś nazajutrz wykiwali mnie, że „przedstawienie po nocach urządzam”.

Skoro czujemy do bliźniego sympatię, łatwo nam przychodzi przy pomocy tysiąca sposobów, spojrzeń czy

uśmiechów dać mu ją poznać. Te moje wysiłki skruszyły w końcu pancierz obojętności Marcelakowej i może będziecie się śmiać, ale dzień, kiedy Szymek zwrócił do mnie wprost rozjaśnioną uśmiechem twarz, wydał mi się dniem zaiste szczęśliwym. Zyskałem przyjaciela. O, jakżeż to wiele znaczy! Przyjaciela, to więcej nawet jak kochanka, nie wymaga bowiem nic, dając wzajemian najcenniejszy skarb przyjaźni.

Odtąd byliśmy nierozłączni, niby Słowackiego Le-lum-Potemum. Każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem. Dzielił się z sobą wszystkimi myślami... Chociaż — stop. To ja byłem gadatliwy i wylewny, niczym miejska kumoszka, Szymek, choć niby dużo mówił, nigdy nie właściwie o sobie nie powiedział, pozostając dla mnie wciąż zagadką. Z jego mglistych, ostrożnych wynurzeń nie zmiarkowało się wiele. Nie zrażało mnie to jednak. Być może dlatego, że należę do gatunku ludzi, którym jest obojętne, do kogo mówią, byle mówić, zwierzać się. Tacy ludzie — gdyby mieli talent — powinni zostawać powieściopisarzami.

Nie podobało mi się jedno: Szymek dość często dostawał listy, pisane kobiecą ręką, pięknym, wyrobionym charakterem pisma. Nigdy jednak nie chciał mi powiedzieć — od kogo. Przy wszystkich swoich zaletach jestem odrobinę ciekawy i te listy nie dawały mi spokoju. Poznałem już Szymka na tyle, aby wiedzieć, że posiada bardzo duże luki w wykształceniu. Czasami nie umiał

odpowiedzieć na takie głupie pytanie, jak w którym roku została odkryta Ameryka, lub czy Jagiełło był w samej rzeczy wielkim królem, czy też takim zrobiły go sprzyjające okoliczności i talent dyplomatyczny koronnych mężów stanu?

Więcej jednak takich pytań nie zadawałem, bo Szymek, przyłapany na niewiedzy, wychodził z równowagi i potrafił być przykry.

Ktoregoś dnia, a był to lipiec i żar z nieba lał się tak straszny, iż po prostu nie było czym oddychać, ziajałiśmy jak ryby, wyrzucone przez burzę na piasek. Do wieczora miałem wolne i postanowiłem zaszyć się w las. Tam w cieniu, w żywicznym zapachu, łatwiej będzie do czekać ożywczego zachodu słońca.

Wąska ścieżka kluczyła między plastrami mchu i kępami jałowca. Wokoło pełno było czarnych jagód i, zapomniawszy o wszystkim, pojadłem sobie smacznie, niczym młody niedźwiadek. W pewnej chwili, podniosłszy głowę, oniemiałem ze zdumienia: przede mną na spróchniałym pniu siedział Szymek z listem w ręku. Wyraz jego twarzy był pełen skupionego napięcia, które z wolna przekształcało się w wyraz bezsilny i rozczarowania.

Chciałem zawrócić, ale pod stopą trzasnęła gałązka i Szymek, jako nieodrodny „kopista”, porwał się natchmiast na równe nogi.

— Coż to, ty mnie śledzisz? — zawołał gniewnie.

— Wariat. Tak wyszedłem sobie do lasu. Dużo jagód tutaj — wybąkałem.

Spojrzał na moje sine zęby i wargi, na umorusane ręce i roześmiał się. Jednocześnie lewa ręka składała list, aby go opuścić do kieszeni.

Nie wytrzymałem.

— Od kogo masz list, Szymku? — powiedziałem prosząco-ciekawie.

— A co ciębie to obłazi? — burknął.

Patrzył na mnie wyzywająco, ja zaś stałem naprzeciw niego z miną niezmiernie głupią i z rękami, które nie wiedziałem gdzie podziać. Teraz on podświadomie brał odwet na mnie za cierpkie niejednokrotnie uwagi, jak na przykład, że nie należy jedzenia kłaść do ust nożem, lub oblizywać łyżkę. Czułem, że powinienem odejść, ale wyglądałbym na obitego psiaka i to mnie powstrzymywało na miejscu.

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Szymek zbliżył się do mnie, a ująwszy za ramię rzekł:

— Chcę ci coś powiedzieć, ale musisz dać słowo, że nikomu słowa nie piśniesz.

— Słowo honoru! — zawołałem zbyt może skwapliwie.

Mimo to wahał się, nie mogąc z siebie wydusić oczekiwanego wyznania. Wreszcie skinął na mnie i powoli ruszył w głąb lasu. Mówił bardzo cicho.

— ...Urodziłem się na parę lat przed wojną, jako dziecko wyrobników wiejskich. Kiedy wybuchła wojna, ojca zmobilizowali i zginął w wielkiej bitwie w okolicach Łodzi w roku 1914. Matka przy kopaniu kartofli przeżyła się i zmarła na wiosnę na gruźlicę. „Dobrzy ludzie” odchowali mnie, a gdy ledwie od ziemi odrosłem, trza było iść do pasionki. Może nie jest to ciężkie zajęcie, ale nudne. Całe dnie i miesiące przesiadujesz w polu z jednym tylko zadaniem, aby bytło nie weszło w szkodę. Franek sołtysów dla zabawy pokazał mi na kawałku starego elementarza litery i tak się nauczyłem czytać, ale tylko drukowane. Z pisaniem jest znacznie gorzej, szczególnie, gdy ktoś pisze jak... ta pani—uderzył się po kieszeni. I teraz, jak trzeba napisać list — w tym miejscu gęsty rumieniec załaz jego ogorzałą twarz — muszę iść do żyda w miasteczku. On mi też czyta listy od niej.

— Czemuż więc nie zwrócisz się do któregoś z nas? — wykrzyknąłem, tak jakbym nie znał Szymka Marcella.

— Za nic w świecie. Żeby się ze mnie nabijali? Och, nieraz sobie myślałem, że ludzie nawet sami nie wiedzą, jak niesłychany skarb posiadają. Cóż to za szczęście usiąść za stołem i wypisywać piórem po białym papierze wszystko, co tylko dusza zapragnie... Jak dobrze w wolnej chwili wziąć książkę do ręki i czytać ciekawe historie o wszystkim, co się tylko na świecie dzieje... Jak słodko jest wziąć list od osoby kochanej i literka po li-

terce, słowo po słowie przeczytać wszystko — bez pośredników... A ja tego nie potrafię. Ty nie wiesz i nikt nie wie, ile wysiłku kosztuje mnie to udawanie, to usłodzenie za coś lepszego...

Ułamał gałąź „wilczej jagody” nerwowo obskubywał zeń liście.

— No, a w jaki sposób poznałeś się z tą panią? — nalegałem.

— W żadnym sposób. Poprostu jadąc na urlop siedziałem z nią w jednym przedziale kolejowym. Ona jest z Wilna, studentka — powiedział z widoczną dumą.

— A potem czy widziałeś się z nią jeszcze?

— Tak, zapraszała mnie do Wilna. Byłem tam, zwiedzaliśmy miasto, nawet nocowałem u nich...

Znów się nachmurzył. Widocznie wspomnienie z tych dni nie było zbyt różowe. Domyślałem się, że przeskadzała mu nieumiejętność zachowania się w towarzystwie, choć był przedziwnie spostrzegawczy i miał niezwykły dar naśladownictwa, właściwy samoukom.

— Jestem analfabetą! — zawołał wyzywająco.

— No i cóż, przecież to nie z twojej winy. Gdzie jak gdzie, ale w wojsku możesz się poduczyć wcale nieźle. Na kursach...

— Nie zwracaj mi głowy z kursami. Nie pójdę i już.

— Nie masz się czego wstydzić. Tysiące żołnierzy dopiero w wojsku zdobywa umiejętność czytania i pisa-

nia — perswadowałem mu, mimowoli wpadając w ton naszego wykładowcy.

Odwrócił głowę i milczał uparcie.

— Nie bądź uparty jak baran. To nie jest dodatnia cecha (to samo zawsze do mnie mówią rodzice — pomysłalem). Gdybyś tylko chciał, to mógłbym ci pomóc...

Podniósł głowę i spojrzał ze źle ukrytym zacięciem.

— Tak, moglibyśmy pokryjomu nauczyć się czytać i pisać. Pójdzie ci to łatwo, bo część liter już znasz, poza tym jesteś chłopak inteligentny.

Pochlebiło mu to.

— Tak, ale gdyby się kto dowiedział? — powątpiewał.

— E, skądżeby? Dla chcącego — nic trudnego. Wykorzystalibyśmy każdą wolną chwilę.

— Byczo jest — ucieszył się, ściskając bardzo mocno moją dłoń. — Kiedy zaczynamy?

— Chociażby dzisiaj.

— No to walmy na strażnicę po „przybory szkolne“.

Zabawne, swoją drogą, było to nauczanie. Gdzieś na polance leśnej siadaliśmy lub rozkładaliśmy się na kobiercu mchów, „zadawaliśmy“ Szymkowi lekcje i podczas gdy on zawzięcie pisał, przekrzywając od czasu do czasu głowę, aby ocenić swoje dzieło, ja śledziłem barwę i kształt ruchliwych plam słonecznych, drgających na leś-

nym podłożu lub krągłej, upartej, golonej czaszce Szymka.

Pisał bardzo starannie i robił niezwykle szybkie postępy w tej sztuce. Kiedyś zdybałem go, gdy na skrawku papieru kaligrafował: „Kochana panno Basiu“.

Byłem trochę zaskoczony, gdy po jakimś miesiącu tej nauki przyszedł do mnie z triumfującym wyrazem twarzy, a zarazem strasznie zakłopotany i powiedział, pokazując list:

— Nie wiem sam, co teraz robić? Napisałem do niej list, a ona zapytuje, dlaczego sam nie piszę, czy mi się co nie stało?

Rozesmiałem się.

— Ach, prawda, dotychczas listy były gryzmlone ręką tego żydka... Musisz to jakoś wytłumaczyć.

— Ba, ale jak? Wyłgać się? W jaki sposób?

— Nie wiem, jaki stosunek was łączy. Ale jeśli ona cię naprawdę lubi, to ją nie zrazi, jeśli jej napiszesz szczerą prawdę. Podług mnie stokroć więcej wart człowiek, który własnymi siłami wybija się na wyższy szczebel nie tyle może społeczeństwa, co wiedzy, — aniżeli ten, kto stroi się w cudze piórka, puszy, lub nie dąży naprzód.

Pokiwał głową i odszedł w zamyśleniu.

Dalej rzecz uktada się jak w jakiej książkowej opowieści. Pewnej nocy zaalarmowano odcinek: przez granicę miano szmuglować większy przemyt. Padał ulewny



Gdy on zawzięcie pisał...

deszcz i po północy przenikliwy chłód jesienny nieźle dał się we znaki siedzącym na zasadzce strzelcom. Zwolna mijały długie godziny. Marcelakowi ścierpły ręce i nogi, przemókł płaszcz i mundur lepił się do ciała. Dreszcz przenikał go całego, mimo to siedział wytrwale, co jakiś czas spoglądając na zegarek, to znów na opieszale rozjaśniające się niebo.

Przestało padać, natomiasz z łąk podniosły się opary, nawisając ciężką zastorą. Z głośnym szumem skrzydeł przeleciał jakiś ciężki ptak, potem zaległa znów nieruchoma cisza wczesnego poranka.

Pochyliłem się do szymkowego ucha, szepcząc:

Patrz, już widno. Wracamy na strażnicę. Myślisz, że będzie frajer w taką porę z przemytem iść?

Pokiwał przecząco głową.

Niecierpliwiłem się coraz bardziej. Kiedyś pomyślał o ciepłym, suchym łóżku — ziewałem tak, iż bałem się, aby nie wywichniąć szczęki. Aż tu chlup-chlup po leśnej łące. Ktoś idzie... Idzie w naszą stronę.

Sen odleciał, jak spłoszony ptak. Karabin mocno ująłem w dłoń, zataiłem dech, czekamy.

Chlup-chlup... Coraz bliżej. Czarny cień wynurza się z mgły. Idzie zgarbiony, objuczony ciężarem. Dyszy ciężko. Graniczna rzeczulka bardzo wąska. Wiemy, że za chwilę przrzuci swój tobół, a potem skoczy sam. Więc Marcelak krzyczy nieco nienaturalnym, jakby pękniętym, głosem:



Czarny słońc wynurza się z mgły.

— Stój! Ręce do góry!

Chłop zamienił się w słup soli. Stoje na „gotuj broń”, gdy Marcelak zbliża się do przemytnika. Aż tu łomot, jakby łosie pędziły po bagnie i parę postaci cwałuje przez mokrą łąkę do granicy.

Zrobił się rwetes, krzyk, zrazu nie wiedzieliśmy kogo łapać, trzymać, smyrgali wokół nas, jak wystraszone króliki, rzucając swoje pakunki. W wyniku całej tej heczy pojaliśmy po jednym, nie licząc porzuconego przemytu.

Oczywiście potem było i wyróżnienie: po 7 dni urlopu, Marcelak zaś, prócz tego, 20 złotych nagrody.

Na urlop jedziemy razem. Ja do Warszawy, a Marcelak?

— Do Wilna — powiada z pychą.

Usiadł w wagonie, nogę na nogę założył i gazetę czyta, jak hrabia jaki. Mimo to przyjemnie na niego patrzeć. Myślę sobie: „Jakby nie było — moja zasługa”. I powiadam do tego huncwota:

— Gdyby tam w Wilnie coś ten tego, to proście i mnie...

— Się wi... — odrzeczę protekcjonalnie, zagłębiając się ponownie w czytaniu.